



Podróż choć stresująca, wszak odwiedzamy Jharknd habitat słynnej jak Indie długie i szerokie kasty złodziei, upłynęła bez przygód. Sprzyjająca wojażom pora nocna, połączona z niewyspaniem i ogólnie pogorszonym stanem zdrowia partycypanatów sprawił, że polegliśmy jak muchy, a ja sam przyciąłem podręcznikowego wręcz komara nim pociąg opuścił stację.

„Pilnować pieniędzy!” rozległo się gromko, gdy tylko wysypaliśmy się na prowincjonalną stację Gaya Railway Station. W asyście krów i żebraków, którzy bez krępacji, za to z gracją przemykali na całej długości, niewielkiego nawiasem mówiąc, dworca. Pierwsze wrażenie z Gai?

Gorąco, duszno oraz tłum, tłum i jeszcze raz tłum. I czy oni muszą tak cholernie krzyżeć? Jak na niewielką osadę przystało wzbudziliśmy niezdrowe, małomiasteczkowe poruszenie wśród miejscowej społeczności. Tłum kibiców krzepł przez cały czas i nie osłabł nawet, gdy zapakowaliśmy się wreszcie z całym majdanem do riksza mających zabrać nas do Bodghai – miejsca z wielu powodów wyjątkowego.

Kim był Budda wie każdy, kto nie wie ten kiep i lepiej niech się nie przyznaje. Bodghaja zaś, to miejsce, które za Buddę jest odpowiedzialne, to tu bowiem księżę Gauthama po dwu miesiącach ścisłego postu połączonego z medytacją doznał olśnienia i przyjął znaną a lubianą postać Buddy, czyli oświeconego. Bodghaja to właściwie ogród – zadbany, nie powiem – z kameralną świątynią i rzekomo oryginalnym szczepkiem Drzewa Oświecenia, oraz tysiącem świątyń dookoła, które ma się rozumieć zwiedziliśmy. Wszystkie buddyjskie, wszystkie kolorowe i wyornamentowane jak cholera, we wszystkich panuje ścisła prohibicja na jakiegokolwiek obuwie – słowem, jedno a to samo.

Nie chciałbym jednak, by ktoś poczytał to za wadę.

Wszak my – żacy pretendujący do miana świątłych posiadamy też, myślę, duchową stronę, która raz na czas wymaga pielęgnacji. Czas spędzony w świątyniach wspominam pozytywnie. Proszę sobie imaginować: armia gruboskórnych białych ignorantów wpada do środka z siłą wodospadu, palba aparatowych fleszy zdaje się nie mieć końca, podobnie zresztą jak hałas i nieadekwatny żart.

Natomiast poza czymkolwiek zasięgiem gdzieś w ciemnym rogu ktoś samotnie i nie zważwszy na przeciwności medytuje w świetle świec i woni kadzideł. Mimo, że sam Budda podważał swoją boskość, ten człowiek wyglądający jak żywcem wyjęty z filmów a’la Bruce Lee naprawdę wierzy, naprawdę ufa i szczerze medytuje. My, Europejczycy zwykli w młodym wieku zamieniać mamę na dzieła zebrane Antoniego Laveya, a biblię na Hugh Hefnera – to jest pozbywać się wszystkich autorytetów i świętości winniśmy czasem przystanąć i wśród palby fleszy i nawałnicy śmiechu spojrzeć na świat okiem łysego mnicha.

Który jest prosty.

Tak prosty jak strawa, którą uraczyła nas (czterooosobową grupę) pewnej nocy jedna z wielu zwyczajnych rodzin żyjących jak na standardy indyjskie przeciętnie. Powitało nas klepisko na ziemi i budynek w budowie, z nieotynkowanych ścian sterczały druty zbrojeniowe, a za



jedyny wystrój robiło zbite krzywo łóżko na którym spała cała dziesięcioosobowa rodzina. Dowiedzieliśmy się ponadto, że ludzie ci dopiero od roku, dzięki datkom sprawili byli sobie dach nad głową. Wcześniej monsun lał im po prostu na głowę. Poruszeni ich sytuacją postanowiliśmy zarządzić małą zbiórkę i ze wspólnej kasy nabyliśmy worek ryżu, który musiałem nawiasem mówiąc nieść brodząc po kostki w błocie.

Potem była jeszcze wizyta w ruinach rzekomo jednego z najstarszych uniwersytetów na świecie, uczelnia zwała się Nalanda, co po tutejszemu znaczy „dawać wiedzę” i mawiają, że nauczano w tym miejscu już za czasów Buddy - to jest 600 lat przed Chrystusem. Zostawiając to co mawiają i skupiwszy się na tym co wiemy Nalanda ciągnęła się na długości dziesięciu kilometrów i obsługiwała trzydzieści tysięcy mnichów - studentów.

Nieżyły, za przeproszeniem, Oksford.

Następnie zapakowano nas do dżipów i cztery godziny później staliśmy u stóp miejsca pielgrzymek tysięcy buddystów z całego świata. Góra, na którą wjechaliśmy kolejką jak na Czantorię zawierała buddyjską Stupę której na imię było Wishnawat. Stupę od innych dokładnie takich samych odróżniało górskie położenie i status. Do Wishnawat bowiem pielgrzymują buddyści z całych północnych Indii.